

Czy dziś możliwe byłoby tego typu okrutne zachowanie? Na szczęście nie. Obecnie obowiązująca Ustawa o ochronie zwierząt w rozdz. 4 *Zwierzęta wykorzystywane do celów rozrywkowych, (...) filmowych (...)* w art. 17 pkt. 2 mówi: *Tresura zwierząt do celów widowiskowo-rozrywkowych i obronnych nie może powodować ich cierpienia. Pkt. 4: Zabrania się zmuszania zwierząt do wykonywania czynności, które powodują ból lub są sprzeczne z ich naturą.*

Bestialskie postępowanie w imię "sztuki" zostało w niektórych przypadkach ukarane i publicznie potępione. Znani polscy naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego (69 nazwisk - mam kopię ww. pisma) w Krakowie domagali się od władz wydania zakazu wjazdu do Polski węgierskiej reżyserki J. Elek, ze względu, jak to określono, wstrząśnięcia opinią publiczną. W piśmie przeczytać możemy: (...) *żaden szanujący się reżyser nie poniżyłby się do użycia tak prymitywnych i okrutnych metod (...)*. Inne przypadki przeszły bez echa, a ich twórcy nie ponieśli żadnych konsekwencji swoich czynów. Pytamy: co czują dziś Andrzej Wajda i Filip Bajon? Jak dzisiaj odnoszą się do kwestii wykorzystywania zwierząt dla sztuki? Wreszcie, co czują Polacy, którzy oglądają sceny rzezi zwierząt, które nie są komputerowymi symulacjami?

Ustawa o ochronie zwierząt mówi: *Zabrania się propagowania lub upowszechniania drastycznych scen zabijania, zadawania cierpienia (...) ze strony człowieka, które ofiarami są zwierzęta, chyba że sceny te mają na celu napiętnowanie okrutnego zachowania wobec zwierząt.* Rozpocznijmy rozmowę na temat wartości sztuki okupionej cierpieniem czujących istot. Czy sztuka jest tego warta? ■

Do:

Ministerstwo Kultury
Rada Etyki Mediów
Stowarzyszenie Filmowców Polskich
Związek Artystów Scen Polskich
Związek Zawodowy Aktorów Polskich
Związek Polskich Artystów Plastyków
Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi
ASP w Gdańsku, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie i Wrocławiu

Do wiadomości: mediów i czasopism filmowych i kulturalnych.

Filip Barche
tel. 0-502 513-606
f.barche@empatia.pl
Warszawa 26.1.2004

Autor jest inspektorem ds. zwierząt, członkiem stowarzyszenia Empatia, skr. 56, 04-737 Warszawa 92,
www.empatia.pl, info@empatia.pl



SPOŁECZNE AIKIDO - WSTĘP

Anarchizm XIX-wieczny walczył z rządem, kapitałem, czy kościołem i innymi formami panowania, bo te nie dawały ludziom żyć, trzeba było walczyć na śmierć i życie! Wiedziały o tym obie strony, nie było zmiłuj! Ta walka dała owoce, elity ustąpiły masom, rzuciły trochę ochłapów - a szczególnie skore do rzucania były za komuny, to znaczy, ze strachu, że jak się nie podzielią z ludźmi tym, co ci ludzie wytworzyli, to może im się zamarzyć komuna i trzeba będzie oddać wszystko.

Dzisiaj, gdy szlag ją trafił, znów dociskają śrubę. Ale nawet teraz, przynajmniej na Zachodzie, gdzie tak wielu jest anarchistów wśród młodzieży z dobrych domów, da się żyć. Więc anarchizm społeczny (czyli próba zmiany całego systemu) zmienił się w anarchizm stylu życia, co widać już w '68 i co przesądziło o jego rozmyciu się. Nie klęsce - kulturowo przeorał system głęboko na tyle, że luz to wręcz jego główny slogan reklamowy, źródło jego siły w epoce kapitalizmu (i zysku z konsumpcji, a nie produkcji). Ale właśnie to sprawia, że trudno mówić o sukcesie '68. Kontestacja stała się wentylem bezpieczeństwa, a co gorsza, doskonałym reformatorem systemu tak, by nic nie zmieniając w istocie rzeczy (niesprawiedliwy podział dóbr i brak wpływu na poczynania rządu nie zmniejszyły się i wręcz rosły), uczynić go bardziej znośnym dla ogółu. Jednak kontestatorzy tego nie widzą, za pieniądze z korporacji i podatków bawią się w ich kontestację, powtarzając XIX-wieczne rewolucyjne slogany, bo dziś to już nic nie kosztuje a dobrze im robi na moralnego kaca i poczucie beżsiły wobec systemu.

Gdy nie idzie nic zmienić w realiach, zawsze można powalczyć w sferze symboli, stąd tak duże zaangażowanie ruchu w walkę o nie, np. sprawy legalizacji aborcji, gejų, marihuany itp., czy wojnę w Iraku - to na tyle abstrakcyjne dla nas, że wydaje się dość bezpieczne, a bardzo pasuje na symbol "walki z istotą systemu", jego centrum - USA, co

zresztą pasuje drugiej stronie, nie tylko z uwagi na jej fundamentalizm, ale i odwracanie uwagi od rzeczy naprawdę ważnych. Efekt (wojna fundamentalizmu - politycznej poprawności) sprawia, że wszyscy są zadowoleni a system ma się dobrze. A jak nic z walki nie wyjdzie, nikt z tego powodu głodny nie będzie (nb., może to, iż "mamusia ich kocha", sprawia, iż mało który działacz czuje się zmuszony zajmować realiami, na tyle przyciśnięty do muru, by zacząć walczyć na serio - dziś nie ma nawet takiej błazenady jak RAF czy Czerwone Brygady a imidż bojowników nie zmienia faktu, że Czarny Blok, choć w kominiarkach, szedł grzecznie na antyszczycie w Warszawie).

Siły prawdziwej nie ma więc, a ta, która mogłaby być (z przekonań, a nie interesu życiowego), jest trwoniona na działania jałowe - weźmy np. sprawy obyczajowe, o jakich wspominałem wyżej. Opinia publiczna jest w kwestiach aborcji, narkotyków czy religii w szkole podzielona na ogół pół na pół, więc jest mała szansa, by osiągnąć konsensus (wszystko jedno, w sprawie legalizacji, delegalizacji czy w jakiejś innej postaci). Można próbować wymusić na władzy tą czy inną opcję wbrew opinii publicznej. Tak próbuje grać Kościół, bo wie, iż otwartego sporu o publikę nie wygra, ale tak próbują działać i działacze niezależni (może z tego samego powodu). Nie rozumieją przy tym, że walka o delegalizację nazistów czy legalizację ślubów dla gejų to pomysł samobójczy - nie tylko nie ma szans w tej konkretnej sprawie: referendum może wykazać, że fanów takiej "wolności w granicach prawa" jest niewielu, a odwołanie do rządu nie daje gwarancji, że weźmie on naszą stronę.

Jest jeszcze gorzej, bo wchodząc w tą grę uznajemy jej reguły (że ogół czy rząd mają prawo decydować za nas, co nam wolno, a czego nie). O ileż rozsądniej byłoby powiedzieć, iż nam to nie pasuje, że chcemy, by w kwestiach nie mających jednoznacznej oceny moralnej nie mógł za nas

co nam wolno, a czego nie). O ileż rozsądniej byłoby powiedzieć, iż nam to nie pasuje, że chcemy, by w kwestiach nie mających jednoznacznej oceny moralnej nie mógł za nas decydować (co wolno, a czego nie) nikt - poza tymi, których to dotyczy bezpośrednio, a i to w każdej sprawie z osobna (w razie sporu można by się odwołać do sądu cywilnego a nie ścigać z urzędu nawet tam, gdzie żadna strona tego nie oczekuje). Opcja taka mogłaby liczyć na zrozumienie ludzi, którzy bądź nie mają swego zdania w danej sprawie, bądź są umiarkowani i gotowi do kompromisu, bowiem stanowią oni większość (przeciwnie do fanatyków z obu stron). Byłby to też dobry pomysł do działania na rzecz wycofania się państwa z życia społecznego w ogóle, bo gdyby to zadziałało tu, to czemu nie przenieść tego na inne sprawy (co zresztą samo się w wielu kwestiach zdarzy, wobec niechęci liberałów do dbania o zdrowie, szkoły czy opiekę społeczną).

Kontestatorzy wołają jednak, tak jak władza, bić się o narzucenie swojej jedynie słusznej wizji cudzego życia innym i mamy zamiast tego rząd, co grając aborcją np., może nami manipulować: dziel i rządź, odwracanie uwagi etc. Przerabialiśmy to wiele razy, sprawa nie jest załatwiona po myśli żadnej ze stron i nigdy być nie może - co 4 lata opinia publiczna odda władzę nowej ekipie, a ta znów coś zmieni czy tylko obieca to przed wyborami. W ten sposób wkręcamy się w bajkę bezkońca, a to, co istotne nam umyka.

A co jest istotne? To zależy, np. dla znudzonego studenta balanga, która nie ma końca i jeśli akurat jego hobby to bycie działaczem, nie ma on nic przeciw temu, bo w ten sposób starczy mu tematów do kontestowania na całe życie (albo póki nie uda mu się dojrzeć). A normalnie - dom, praca i takie tam (szerzej: społeczność, w której się żyje, zdobywanie środków na zaspokojenie potrzeb - warunki realizacji swoich pragnień). I tu wracamy do tematu społecznego wymiaru życia wielu ludzi nie ma pracy, jeśli mają często muszą godzić się na kieszkałkę płacę i brak poszanowania ich godności. Przyjemniej byłoby pracować u siebie. Podobnie z mieszkaniem (idzie nie tylko o dom, ale społeczność, w której się żyje). Fajnie byłoby też móc realizować swoje marzenia, nie musieć wybierać między pracą czy rodziną i działalnością społeczną etc.

Czy to możliwe? A czy ktoś spróbował? I to jest właśnie ten pomysł dla działaczy, jak połączyć pracę z działalnością a działalność z normalnym życiem (dziś przypomina ona wiarę katolików - na co dzień siedzimy w syfie, ale od święta kontestujemy go na demonstracjach czy wykładach o tym, że inny świat jest możliwy - są cotygodniowe spotkania i wielkie akcje, jak owa procesja Bożego Ciała na anty-szczycie w Warszawie). A zacząć trzeba od niedziałania i wycofania się z konfrontacji z systemem tam, gdzie mu to pasuje. Takim terenem jest polityka - walka o władzę i o tworzenie prawa, o rząd dusz, opinię publiczną - co mamy jej na serio do zaproponowania? Publicznie system w pełni odpowiada, jeśli coś jej nie pasuje, to raczej jej kieszkałki miejsce w systemie, a nie to, że istnieje i że jest niesprawnym (o wolności nie ma nawet co gadać, pewno sami działacze poczuli się tu zagubieni, gdyby rząd z dnia na dzień przestał istnieć kogo bowiem by się kontestowało, że nie wspomnę już o tym, kto by ich musiał utrzymywać).

Dziś nie ma tak prostej sytuacji jak była za komuny czy u Marksa, że człowiek od razu wiedział, kto wróg, a kto swój - z kim i przeciw komu walczyć. Ba, nawet tam, gdzie to wiadomo (np. w fabryce, która okrada swoich pracowników), ludziom trudno iść na całość. O ile za komuny robotnicy walczyli o samorząd, o tyle dziś są gotowi wyrzec się go nawet tam, gdzie przez zbieg okoliczności fabryka stała się ich własnością - tak było np. w Brodnicy, gdzie pracownicy sami uratowali swój zakład, kupiony przez właściciela od państwa i doprowadzony do ruiny, a następnie sprzedali go nowemu. Szło bowiem o to, by ktoś urządził im w życiu wszystko, a nie by robić to samemu.

Mało więc chętnych do tego, by się rządzić samemu (wiara w dobry rząd jest łatwiejsza), by robić na swoim itd. Naiwna jest więc wiara, iż można zmienić to agitacją (wbrew interesom czy odczuciom ludzi). Chrześcijaństwu ta sztuka nie udała się przez 2 tysiące lat. Jak człowiek czegoś sam nie czuje, nie kupi bajki, a nawet jak kupi będzie żył po staremu, tyle że w zakłamaniu. Nie warto więc dziś (nie wykluczam, że kiedyś się to zmieni) walczyć o masy, a w każdym bądź razie walczyć gadaniem i demonstrowaniem.

Getto jest dziś nieuchronne. Musimy zająć się sobą. Nie idzie oczywiście o rozwój ruchu jako sztuki dla sztuki, o to, by demonstracje były większe a pismo docierało coraz szerzej do mas - idzie raczej o stworzenie swego świata obok, poza układem, poza rynkiem - wyścigiem szczurów. Jeśli jest nas wystarczająco wielu i wystarczająco poważnie bierzemy nasze ideały (to znaczy - nie tylko wierzymy od święta, ale chcemy nimi żyć na co dzień), możemy zacząć budować własną społeczność - miejsce do pracy i życia najlepiej jako jedną całość.

Dziś już wiele można (to nie komuna, co niszczyła każdy przejaw samodzielności) a mimo to mało kto próbuje, a jak już, to jakby na niby, jak ze skłotem - jak nam zabiorą strata będzie niewielka, bo to nie nasze. Taka tymczasowa strefa autonomiczna - czemu nie trwała? A jak będzie co bronić, to i walczyć będzie się na serio, choćby na śmierć i życie. Ale może to właśnie przeraża kontestatorów od konsumpcji. Taka rewolucja od święta, jak każda inna balanga, ma jedną zaletę w każdej chwili można wyjść i nawet nie dbać o to, kto po nas posprząta. A swój dom, zakład pracy czy społeczność takiego luzu nie dają - nie ma gdzie pójść, żal to zostawiać, więc trzeba brać rzecz serio. Ale może mimo to warto spróbować. Uchylić się władzy, zająć się sobą naprawdę tworząc coś, co może - jeśli zadziała - stać się lepszą agitką niż wszystkie nasze demonstracje i ulotki razem wzięte. Bo ma to wiele zalet, jeśli nawet nie da się zrobić wielkiego biznesu i starczy tylko na przeżycie, to i tak jest już dobrze.

Ogół nie ma ambicji dorwania się do koryta, starczy mu, gdy nie jest głodno i jest miło, a we wspólnocie zawsze można zrobić, by tak było - bo to i ludzie pomogą, i w kupie raźniej. Niezłym sprawdzianem może być tu akcja Jedzenie Zamiast Bomb, wymagająca sporo pracy i to systematycznej, koordynacji działań większej grupy osób itp. Można tu przejść do robienia go także dla siebie, tworzenia zaplecza (od lokalu po działkę warzywną etc.), można też wciągać do niej ludzi z zewnątrz (np. pomagając biednym zorganizować się w grupy sąsiedzkiej samopomocy bez liczenia na zasiłek od władz). Ale to może dotyczyć wszystkiego. Po części to już się dzieje, ludzie tworzą sobie kluby czy media, zamiast iść z książką do wydawnictwa można ją wydać samemu, zamiast nudzić się dla papierka (co i tak nie da pracy) zając się samokształceniem, jednak najważniejsze pozostaną takie sprawy, jak własny / wspólny dom i praca - i to od nich należałoby zacząć budować własny świat, a nie "walczyć" o to, by się nań państwo zgodziło czy ludzkość chciała kupić. Czasem ta agitacja wygląda tak, jakbyśmy sami nie wierzyli i chcieli by ktoś inny zaczął, a jak nie inny - to wtopić w to razem. Zaryzykujemy?! ■

Janusz Waluszko
jwal@pg.gda.pl

Janusz Waluszko, ur. 1962, pracownik biblioteki Politechniki Gdańskiej, arianin, współtwórca Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego (1983) i Międzymiastówki (Federacji) Anarchistycznej (1988), redaktor "Nierządu" (1979), "Homka" (1983), "Ulicy" (1991) i "LaBesti" (1996), autor prac RSA i Sarmacja, współautor i wydawca tomu *Moje miasto* (2002), publikował m.in. w "A'cappelli", "Maci Pariadka", "Innym Świecie", "Ataku" i "Obywatelu".

RAPORT Z GŁĘBI PARADOKSU

Osobiście sam nie wiem jak miałbym się sytuować w całej tej politycznej wrzawie, ponieważ nigdy nie byłem w polityce, nie należałem i nie zamierzam należeć do żadnej partii. Zresztą podziały, które się tworzą, nie odzwierciedlają moich poglądów i tej dziwnej energii, która mnie motywuje do działania w dziedzinie społecznej. Nie wiem nawet, czy umiałbym ową energię opisać w kategoriach obiegowych, ponieważ...

Krótko mówiąc interesuję się magią i to magią pewnego typu, mianowicie magią upodmiotowienia i "umocnienia" jednostek i społeczności. Wszędzie tam, gdzie byłem i pracowałem w dziedzinie społecznej, a więc w USA i w Indiach; w Tajlandii i w Kanadzie; w Szwecji i w Indonezji; w Peru i we Francji, nie mówiąc już o naszej Polsce - wszędzie tam są wyzwania graniczące z niemożliwością, z kompletną ludzką bezradnością i paraliżem. W Szwecji rozpada się system edukacyjny, jest największa ilość zwolnień lekarskich wśród nauczycieli na świecie, państwo swoją opiekuńczością obywatelom oddolne inicjatywy. W Kanadzie niezmiernie są problemy terenów północnych i zachodnich, szczególnie w Brytyjskiej Kolumbii gdzie mieszkają, często wyłącznie na zapomogach, "tubyłcy", czyli jak ich tu nazywają "First Nation". Jeżeli wchodzi się do "inner cities" w USA widzi się obraz jak po III wojnie światowej, niezmierną nędzę, brud, rozpad, patologię. W Indiach... W Tajlandii... Wszędzie są problemy tak drastyczne, że tylko cud może pomóc. I moja pasja jest właśnie anatomia tego cudu¹⁾, a więc wyzwalenie w ludziach motywacji, radości tworzenia, chęci mierzenia się z przeszkodami (traktowania przeszkód jako wspaniałych wyzwań, a nie jako czynnika demobilizującego, czy też jako powód do konfrontacji), znajdowania innowacyjnych rozwiązań w porządku lub wbrew istniejącym rutynom.

Pasjonuje mnie więc chęć "stworzenia czegoś" i zostawienia po sobie "czegoś wartościowego", pragnienie odcisnięcia swojego piętna na historii, choćby to była i historia miasteczka czy gminy. I właśnie tworzenie warunków społecznych, kulturowych, psychologicznych do rozwijania takiej postawy u ludzi - to moja pasja.

Patrząc na świat polityki znajduję tu i ówdzie elementy bliskie mojemu myśleniu, nigdzie jednak nie znajduję spełnienia. U lewicowców (tych prawdziwych, typu Bugaja) znajduję wrażliwość społeczną, wrażliwość na ludzką tragedię i krzywdę. U amerykańskich konserwatystów (uwaga, w USA "liberal" oznacza "lewicowca"!) znajduję filozofię "brania w swoje ręce", "brania odpowiedzialności", "podejmowanie ryzyka" itp.

Unię Europejską widzę w tym kontekście raczej negatywnie: biurokracja, uganiecie się za dotacjami miast podejmowania własnego ryzyka (ileż ludzkiej energii idzie na "sztukę" pozyskiwania unijnych dotacji), myślenie kategoriami "ciocia Unia nam pomoże" - wszystko to jest mi wrogiem, bo paraliżuje, demobilizuje, zabija inicjatywę (jedynym powodem mojego głosowania na "tak" był powód negatywny, mianowicie lęk, że gdybyśmy pozostali na zewnątrz, to oni już na pewno by nas wykończyli).

Podobnie negatywnie widzę globalizację. Jej zwolennicy uprawiają demagogię "wolnościową", ale efektem globalizacji jest tworzenie molochów poza wszelką kontrolą, niszczących małe, oddolne inicjatywy. Jednostki, rodziny i lokalne społeczności wydają się coraz bardziej sparaliżowane poczuciem, że gdzieś w nieokreślonym uniwersum zapadają decyzje na temat ich życia, że tak naprawdę nie ma sensu się szarpać, bo decydują jacyś nieznani "globaliści". Więc dokładnie odwrotnie do moich marzeń o "braniu losu w swoje ręce".

Z drugiej jednak strony antyglobalizm też jest demagogiczny, bo owszem, używa świetnych cytatów (np. z Papieża), przytacza jedną czy drugą wspaniałą oddolną inicjatywę (np. *da Porto Alegre al Chiapas*), ale... przede wszystkim bardziej jest to ruch na "nie", używający jedynie sprytnych kontrprzykładów celem uzyskania upragnionego efektu destrukcji, a nie zajmujący się tworzeniem alternatywnych rozwiązań (to znacznie żmudniejsze niż egzaltacja rewolucyjna). Więc w sumie antyglobalistów nie bardzo interesuje jak ma być urządzona ta społeczność lokalna (wiadomo, ma sama wybrać, ale gdybyśmy uczestniczyli w referendum, to co byśmy proponowali jako jedno z rozwiązań)? Jak przydać ludziom mocy do przekraczania barier, rutyny, atakowania niemożliwości, radości z trudu tworzenia?

Wciąż pozostanę więc chyba na boku polityki, szukając magii i badając magię. Szukając niemożliwego i odnajdując w ludziach gotowość do czynienia cudu, czyli do znajdowania sposobu na "odczynianie niemożliwego". Jak powinna się rządzić (urządzać) społeczność by nagradzać, wyzwalać, radować się kreacją, innowacją, indywidualną przedsiębiorczością i chęcią do podejmowania ryzyka?

Jaka jest owa struktura magii? Właśnie się zajmuję badaniami na ten temat i co rusz napotykam na arcyciekawe myśli. Ot, choćby konstrukcjonizm, mówiący, że nie ma świata obiektywnego, bo to co jest "realne" tworzymy my sami. Na przykład przepowiednia samorealizująca działa mocą swojego ustanowienia i poprzez samo swoje "zaistnienie" kreuje rzeczywistość, którą sama przepowiada (poniżej arcyciekawki kawałek badań nad przepowiednią samospełniającą się w edukacji²⁾).

Wiara jednostki we własną bezradność, wiara społeczności we własną bezsilność jest przepowiednią samorealizującą się, owym zaklęciem rzuconym na ludzi przez jakiegoś koszmarnego czarownika. Jak odczytać te złe zaklęcia? Czy wogóle jest na to jakiś *harrypotter*? Oczywiście, że jest! Zapytajcie na przykład Jacka Jakubca, z Fundacji Kultury Ekologicznej, co powoduje, że mu się chce; mało powiedzieć "chce" - że od kilkudziesięciu lat toczy nierówną, z góry - wydawałoby się - przegraną walkę o kulturę ekologiczną; że ryzykuje sobą, losem swojej rodziny; że ten dojrzały i mądry architekt marzy - marzy jak dziecko o czymś pięknym, że często aż bał się śmiałości marzeń. Zapytajcie go, czy zrezygnowałby z tych setek upokorzeń, niepowodzeń, pomowień, gorzkiego smaku porażki. Dowiedźcie się od Niego „dlaczego warto.”

Zapytajcie Krzysztofa Stanowskiego, jak to jest, że z pasją „szlają się” po Mongolii, Kazachstanie, Białorusi, Ukrainie itp. i jak za dotknięciem różdżki wyzwala oddolne ludzkie inicjatywy, tworzy aktywne grupy obywatelskiego zaangażowania, przyczyniając się do zmiany losów całych narodów (tak, tak! np. rola Krzysztofa i innych, np. Urszuli Doroszewskiej w umocnieniu, upodmiotowieniu Tatarów po ich powrocie na Krym ze stalinowskiego wygnania jest po prostu nie do przecenienia). Jaka stoi za tym magia, szczególnie, że robi to niezmiernie małymi środkami? (www.edudemo.org.pl)

Zapytajcie Tomasza Sadowskiego o odmienienie o 180 stopni losu bezdomnych, którzy wzięli w swoje ręce własne życie, pracę, budowanie domów, tworzenie miejsc szkolenia zawodowego dla następnych wykluczonych, pomoc w programach ekologicznych itp.. Zamiast dostawać pomoc od społeczności - owej społeczności pomagają. Czy stałoby się to bez magii? (Www.barka.org.pl)

Pytanie o politykę to dla mnie pytanie o taką systemową konstrukcję wspólnot ludzkich, by biała magia mogła odczytać magię czarną, by ludzie nie bali się marzyć, by ryzyko zostało oswojone i polubiane, by przekraczanie niemożliwego było społecznym rytuałem, by znajdowanie innowacyjnych rozwiązań było celebrowane festynami i zabawami. Rytuał inicjacji dla przykładu polegałaby na zaakceptowaniu pierwszego innowacyjnego projektu społecznego chłopców i dziewcząt.

Jesteśmy tuż-tuż - zobaczcie ruch członków Ashoki (www.ashoka.pl), czyli społecznych innowatorów, z których każdy znalazł jakąś magię na zamianę niemożliwego w możliwe. Każdy jakoś "konstruował rzeczywistość" poprzez jej definiowanie, poprzez zmianę przepowiedni samorealizującej się. Każdy nie tylko, że dokonał jakiegoś "cudu" (np. Jacek Jakubiec zbudował Dwór Czarne jako miejsce upowszechniające kulturę ekologiczną), ale jeszcze w dodatku zmienił symbole społeczne. Stworzył to, co francuski socjolog Pierre Bourdieu nazywa *kapitałem symbolicznym*³⁾. To jest właśnie anatomia magii, a przynajmniej część owej anatomii: działanie na tworzenie kapitału symbolicznego. Symbole tworzą (porządkują) język i kulturę. Symbol Dworu Czarne i całej jego burzliwej historii wchodzi już mocno do kultury, staje się kapitałem symbolicznym. Nie można już w Jeleniej Górze powiedzieć: "Skończ, stary, z tymi naiwnymi marzeniami, i tak nic z tego nie będzie", bo jest! Jest Dwór Czarne! (patrz: www.fke.org.pl)

Moja pozycja outsidera politycznego wynika z tego, że nie podoba mi się ani "a", ani "nie a". Bo z jednej strony moją autoteliczną wartością jest rozwój jednostek, rodzin i społeczności, wyzwolenie radości z własnej kreacji, frajdy z pokonywania przeszkód, tworzenia własnego uniwersum (np. zakładania własnych przedsięwzięć), z drugiej jednak ta droga wcale nie jest rajem i wielu może mi zarzucić, że "rzucamy Cię na głęboką wodę, ucz się sam pływać a jak się utopisz to trudno".

Otóż nie ma podmiotowości, nie ma kreatywności bez ryzyka i bez lęku o ryzyko. Tylko oszuści mówią ludziom, żeby "brali sprawy w swoje ręce", jednocześnie oferując różne formy nadopiekuńczości. To tak, jakby matka mówiła do syna: "nareszcie byś się zbuntował". Jeżeli rzeczywiście się zbuntuje, to się podda sugestii matki i pozostanie zależny. Jeżeli zaoponuje i na złość się nie zbuntuje, to tym bardziej zostanie zależny.

Członkowie Ashoki nie tylko się radują - także cierpią, nie śpią po nocach obracając w wyobraźni różne zagrożenia dla swojej idei. Boją, że coś nie wyjdzie, że nie dostaną odpowiednich środków, że w ostatniej chwili nie znajdą wsparcia... Przeżywają porażki, uczą się na błędach. Zapytajcie ich jednak, czy chcieliby przestać się bać? Żyć spokojnie z dotacji/emerytury/zapomogi/renty? Czy też odrzucają ów sielski spokój, byle tylko realizować marzenia i "żyć wyzwaniem"?

Nie ma innowacji bez radości tworzenia i nie ma radości tworzenia bez lęku i rozpacz. Głęboka woda jest przywilejem, jest jedyną możliwością realizowania swoich marzeń w realu. Jak inaczej dać ludziom szansę na bujanie w obłokach⁴⁾ i zamianę owych obłoków w rzeczywistość? Jak inaczej przeżyją tę niesamowitą mieszankę marzenia, nadziei, wyzwania, kreacji, lęku, rozpacz, załamania, rozpoczęcia od nowa, i jeszcze raz od nowa? Tak jak wspinający się po górach, jak sportowcy, jak ludzie, którzy czegoś bardzo pragną. Postawa twórcza to wielka frajda, ale frajda podobna do satysfakcji sportowca, który trenuje miast siedzieć przed TV.

Chyba, że chcemy być w matriksie, zaopiekowani niezależnie od tego, co zrobimy. Ot, choćby tak jak globaliści, którzy wymyślili paskudny "golden parachuting" (złoty spadochron), dzięki któremu najwięksi szefowie, niezależnie od wyników swoich działalności i niezależnie od przyczyn odejścia (nawet, jeżeli coś spieprzyli lub jeżeli idą do lepiej płatnej pracy) - dostają wielomilionowe odprawy.

I przykład z drugiej strony: właśnie na Florydzie rozwija się afera związana z naborem nowych policjantów. Wśród warunków jest umiejętność pływania, bo Floryda ma dużo wody i powodzi. Czarni Florydcyzy protestują, bo w większości nie umieją pływać i uważają ten warunek za sposób na zamknięcie kolorowym drogi do policji. Obrońcy praw mniejszości wzięli sprawę w swoje ręce i ten warunek prawdopodobnie zostanie zniesiony. Nikt nie pomyślał, że jeżeli ktoś pragnie zostać policjantem to może się nauczyć pływać w kilka tygodni, mając jednocześnie radość ze zmagania się z wyzwaniem, z wodą, z lękiem, z własnym wyuczonym poczuciem bezradności i, na koniec, ze zdobycia upragnionej umiejętności i wreszcie - posady. Oczywiście, życie w zaopiekowanym matrixie jest przyjemne, tak jak przyjemne jest życie przed telewizorem. Ale jakie to życie?

Warto tu przytoczyć jakiś przykład magii, zmagania się z niemożliwością, radości i lęku, i znowu radości ze stworzenia czegoś niezwykłego. Kto zna wieś hinduską, ten wie, co to naprawdę jest nędza, głód, beznadzieja, choroby, sprzedawane dzieci, niewolnicza eksploatacja itp. Amol Goje urodził się w głębokiej prowincji w stanie Maharashtra i marzył o tym, by wieś hinduska była... najnowocześniejsza na świecie! Wariat? Nie, czarodziej! Skracając pasjonującą historię jego życia warto ową wieś zobaczyć teraz, po latach: w centrum nowoczesny ośrodek komputerowy. Każdy rolnik ma dostęp z publicznego telefonu do elektronicznego komputera podającego gdzie w danej chwili uzyska najlepsze ceny za swoje produkty (przedtem pośrednicy oszukiwali ich fałszywymi informacjami o cenach zbytu). Do okolicznych wiosek regularnie jeżdżą promienie autobusy zamienione w ruchome pracownie komputerowe, by uczyć dzieciaki informatyki, itp.. Amol nie tylko stworzył nowoczesną wieś, ale też odwrócił paskudną przepowiednię samorealizującą się, ponieważ dzieci się uczą, zmniejsza się niepiśmienność, rodzice są szczęśliwi i dumni, więc identyfikują się i działają na rzecz swojej społeczności, co ową społeczność wzmacnia. I co najważniejsze zmienia się kapitał symboliczny!

Co Amol przeżył po drodze? Mogę o tym śmiało mówić, bo wiem od niego bezpośrednio: początkowo wstyd przed światem, że ma takie nierealne marzenia; potem lęk; strach; radość ze wspaniałych wizji; upadki po nieudanych próbach; nadzieję, znowu rozpacz i znowu nadzieję. Bez tego procesu, w którym uczestniczyła także społeczność, bez bólu kreacji, nie byłoby nic. Może trochę rządowych dotacji z nieodłączną biurokracją i korupcją.

Oczywiście, że ta "głęboka woda" może być niebezpieczna. Amol nabił sobie tyle guzów skacząc do niej, że trudno mu zazdrościć. Mogło mu się łatwo też nie udać! I tylko taka gra w realu, z prawdziwą (a nie dotacyjną, zaopiekowaną, matriksową) rzeczywistością, z realną możliwością przegraną daje szansę na magię kreacji i cud zmiany.

Widzę u siebie szczególny rodzaj troski, która jest jednocześnie antytroską: stwarzać warunki do kreacji i twórczości, do eksploracji nowego, do upadków i sukcesów, do szczęścia i rozpacz - i jednocześnie nie niszczyć tych możliwości przez nadopiekuńczość.

Oznacza to, że politycznie jestem w głębi paradoksu: wychodząc z troski o człowieka, dochodzę do fundowania mu cierpienia. Chcąc dać szczęście kreacji, zapewniam dramat niepewności. Walcząc o zwykłych ludzi, oponuję przeciw nadopiekowaniu się nimi.

Mało tego: podejrzliwie patrzą zarówno na uczestników Forum Ekonomicznego, jak i na tych, co protestują. Jedni mają w tym interes finansowy (w imię wolności), a drudzy tak naprawdę pragną rewolucyjnego rozprawienia się z etyką greko-judeo-chrześcijańską (w imię wolności). Wszyscy oni są zabójcami mojej ukochanej magii, która jak widać jest paradoksem. Ale działa!⁵⁾

Okropnie się więc cieszę, że nie lubię polityki, bo gdybym lubił, to bym w niej uczestniczył, a nie znoszę tego świństwa. To już na dzisiaj ostatni paradoks. ■

Ryszard Praszki
ryszp@yahoo.com

Autor jest licencjonowanym psychoterapeutą i superwizorem psychoterapii, ma specjalizację I stopnia z psychologii klinicznej. Napisał ponad 30 publikacji, m. in. książki *Zmieniać nie Zmieniając. Ekologia Problemów Rodziny* (WSiP, Warszawa 1992). Specjalizuje się w badaniu przedsiębiorczości społecznej, jest szefem szkolenia personelu międzynarodowego stowarzyszenia "Ashoka. Innowatorzy dla Dobra Publicznego", które działa od 1980 r. w 48 krajach (www.ashoka.org, polska strona Ashoki: www.ashoka.pl).

PRZYPISY

Jeżeli "cudem" będzie powstawanie nowej jakości nie będącej sumą prostą swoich części, to w ramach "anatomii cudu" można się odwołać do modnej obecnie teorii emergencji; patrz np. Steven Johnson: *Emergence. The connected Lives of Ants, Brains, Cities and Software*.

Paul Watzlawick: *Przepowiednia samorealizująca, to takie założenie lub przewidywanie, które wyłącznie mocą faktu, że zostało poczynione, sprawia, że spodziewane wydarzenie następuje*. (How Real is Real, Vintage Books, New York 1976. Autor przytacza badania nad działaniem przepowiedni samorealizującej. Na początku roku szkolnego przekazano nauczycielom informację o nowych uczniach. Informacja dotyczyła ilorazu inteligencji 20% najzdolniejszych uczniów oraz zawierała prognozę na temat ich nadzwyczajnych i szybkich postępów w nauce. W rzeczywistości był to eksperyment psychologiczny: nazwiska tych uczniów były wybrane losowo, o czym nauczyciele nie wiedzieli. Tak więc różnica między wybranymi a pozostałymi dziećmi istniała jedynie w świadomości nauczycieli. Badania pod koniec roku wskazały prawdziwy wzrost ilorazu inteligencji oraz osiągnięć w nauce "wybranej" grupy. Jednocześnie sprawozdania nauczycieli potwierdzały, że uczniowie ci (przypomnijmy: wybrani przypadkowo) wyróżniali się spośród kolegów intelektualną ciekawością, przyjaznym stosunkiem do innych itp. Przepowiednia potwierdziła się wyłącznie mocą swojego istnienia! Badano także osoby pracujące ze zwierzętami, np. szczurami czy dżdżownicami. Chodziło o to, by wyeliminować czynnik osobistych sympatii, jaki mógł mieć miejsce między nauczycielami a uczniami. Przeprowadzono serię eksperymentów nad zachowaniem w labiryncie szczurów czy dżdżownic. Jeżeli osoby eksperymentujące (dla nas: osoby badane) były wstępnie poinformowane, że niektóre zwierzęta są inteligentniejsze - to istotnie później, przy opisywaniu zachowania tych zwierząt w labiryncie, stosowali dla nich wyższe oceny niż przy opisywaniu zachowania zwierząt spostrzeganych przez nich jako mniej inteligentne. Nie trzeba dodawać, że podział na zwierzęta "inteligentne" i pozostałe został (w tajemnicy przed osobami badanymi) dokonany losowo. Znów: przepowiednia potwierdziła się sama, tylko dlatego, że została ogłoszona! (R. Praszki: *Zmieniać nie zmieniając*; WSiP, Warszawa 1991).

Pierre Bourdieu: *The Field of Cultural Production*, Columbia University Press, UK 1993.

Polański napisał: *Grunt to bujać w obłokach*.

Jeżeli pytamy: "czy Bóg może stworzyć kamień tak ciężki, że nie będzie go mógł podnieść"; jeżeli Eubulides z Miletu pytał, czy "ja kłamie" jest prawdą czy kłamstwem (jeżeli prawdą, to kłamie, że kłamie; jeżeli kłamstwem, to mówię prawdę, więc kłamie!) to zastanawiając się nad tym otwieramy nowe drzwi do wyobraźni i nieskończoności. Pokażcie mi jakąś inną kulturę, w której mógłby się zagnieździć paradoks; w której "a" i "nie a" mogłyby jednocześnie współbrzmieć ze sobą. A czy bez tego możliwa jest magia kreacji? Bez połączenia radości i rozpaczy? Marzenia i rzeczywistości? Nadziei i zwątpienia?

Na ekologicznych ścieżkach i rozdrożach



rozmawiają Dariusz Liszewski i Janusz Korbel

Dariusz Liszewski: Upiękniało już sporo czasu od twojego odejścia ze stowarzyszenia, które założyłeś - Pracowni na rzecz Wszystkich Istot (PNRWI) i „Dzikiemu Życiu” (DŻ) - pisma, które stworzyłeś i redagowałeś przez długie lata. Dziś starsz się nadal, jak to zwykle ujmujesz: *uratować jakiś kawałek dzikiej przyrody, choć już z zupełnie innymi ludźmi i na drugim końcu Polski*. Jednak nadal wielu ludzi kojarzy cię z PNRWI, często przy różnych okazjach pytają o ciebie. Sądzę, że są ciekawi gdzie teraz mieszkasz, czym się zajmujesz i jak ci się wiedzie?

Janusz Korbel: Sprzed domu widzę najstarszy las w Europie, więc wszystko, czym się zajmuję jest z tym lasem bardziej lub mniej związane. Niedawno napisałem scenariusz do krótkiego filmu dla WWF, który pokazuje obecną sytuację Puszczy Białowieskiej. Film na VHS i DVD właśnie jest rozsyłany przez WWF zainteresowanym i niech ta wzmianka będzie jego reklamą. Tutaj wszyscy zajmują się Puszczą - jedni pokazują ją za pieniądze turystom, inni badają swoje "powierzchnie", jeszcze inni wycinają prastare dęby, żeby nie psuły obronności Polski i dbają o zdrowie lasu wycinając tysiące świerków zaatakowanych przez "wstrętnego" kornika, minister Cimoszewicz odpoczywa tu polując jak Gajgół, Batory, August III Sas, a także Hermann Goëring, Edward Gierk i wielu innych. Głównie jednak jestem dziennikarzem - w największej regionalnej gazecie wychodził przez 2 lata dodatek *W zgodzie z naturą*, który redagowałem i składałem. A razem z tobą robimy przecież białowieską stronę internetową, która sporo namieszała przy okazji „wyrwi-dębów” (jak *"Wyborcza"* opisała nielegalnie wycięte stare dęby przy granicy). Mamy tu Towarzystwo Ochrony Krajobrazu, które tworzą ludzie miejscowi, związani z kulturą rusińską, prawosławną. Istnieje krótko, ale parę rzeczy udało się zrealizować - ochroniliśmy stary cmentarz, uratowaliśmy od rozpadu carską stacyjkę w Puszczy, ostatnio występujemy na sesjach rad gmin puszczańskich i w ramach stowarzyszenia powstała grupa leśna, która zebrała mnóstwo podpisów wśród lokalnej ludności za ochroną Puszczy. Przede wszystkim jednak staram się w tej Puszczy być - to ogromny przywilej mieć taką sposobność...

Jak z takiej "leśnej" perspektywy oceniasz obecną kondycję polskiego ruchu ekologicznego? Mnożą się opinie, że nie jest ona najlepsza, że nie czas zajmować się przyrodą, skoro tak wielu ludziom w Polsce żyje się tak ciężko.

Może czas "ruchu" już minął? A może go nigdy nie było? Łatwiej mówić o konkretnych ludziach, grupkach, działaniach. Widzieliśmy niedawno jak skuteczna w sprawie wycinanych w Puszczy dębów była szczecińska "Gaja", choć bez zaangażowania Adama Wajraka z "Gazety Wyborczej" i paru ludzi w ogóle nie identyfikowanych z ruchem eko, nikt by nie wiedział o wycięciu bez zgody ministra ponad 400 drzew. Osoby pracujące przy białowieskim projekcie WWF mogą budzić szacunek zaangażowaniem w sprawy Puszczy, choć bywają organizacje i działacze ekologiczni, którzy chyba bardziej pomagają niszczytelom przyrody niż jej obrońcom. Nie wiem, co się dzieje gdzieś dalej w Polsce, mogę mówić tylko o Białowieży - na pewno do najczarniejszych stron tego środowiska należą różne wątki nienawiści i agresji, podziałów i próżnych ambicji, które są bardzo na rękę naszym przeciwnikom.